

Tik-tak. Nie, to nie tak. Dziś zegary wydają inne dźwięki. Irytujące pstryk, pstryk, pstryk... Albo bezduszenie milczą. Jest coś bardziej bezwzględnego w bezgłośnym przesuwaniu świata w kierunku jego końca, niż w kwantowym pstryk, pstryk, czy archaicznym tik-tak, związanym z ruchem wahadła. Nie. Nie chodzi mi o wahadło Foucaulta, które zmieniając płaszczyzny swego działania wskutek ruchu obrotowego ziemi, kreśli w powietrzu piękne, lecz niewidzialne kwiaty. Zwykłego zegarowego wahadła, które zmagazynowaną mechanicznie energię w postaci uniesionego ciężarka, bądź nakręconej sprężyny, oddaje światu w postaci rytmicznego tik-tak. Potrzeba odmierzania czasu, jest czymś nieodgadnionym. Zakłada na ludzi karby dyscypliny. Czy zastanawialiście się kiedyś, jak bardzo dyscyplina związana jest z czasem? Nie istnieją bez siebie.

Dla mnie czas, ma jeszcze jedno oblicze. Kiedy da mi znać, że spektakl dnia został już odegrany, staje się muzyką. Siadam w fotelu i dziesięć sekund lekko trzeszczącej rozbiegówki, płynnie zamienia się w cztery minuty i trzydzieści dwie sekundy. Nie odmierza ich pstryk, pstryk, ani tym bardziej cisza, tylko chrapliwy głos Jack'a Savorettiego, na tle miękko prowadzących go instrumentów. Potem następuje trzy minuty i trzydzieści dwie sekundy, oddzielone kilkusekundowym, czarnym, szumem. Po dziewiętnastu minutach i dwudziestu ośmiu sekundach (jakże rażący brak regularności interwału), trzeba wstać, włączyć lampkę i zmienić stronę, by usłyszeć trzydzieści minut i dziesięć sekund. Darujcie mi tę matematyczno-fizyczną nomenklaturę. Jest taka twarda i kanciasta. Nieprzystająca do piękna muzyki.

Po tym rytuale. Swoistej celebracji przemijania, zaczyna się nieistnienie. Ludzkie sny są bezwymiarowe. Tak absurdalne w kontekście, geometrii, fizyki czy mechaniki, że nie sposób brać je poważnie. Tym bardziej płynącego w nich czasu. Kto to widział, tak latać sobie bez skrzydeł i napędu. Przemieszczać się w mgnieniu oka, wbrew wszelkim regułom. Mieć siłę tytanów, czar Apollina, niespożytą witalność satyrów. Tak sobie nie zważać na konsekwencje. Lekceważyć przyczynę i skutek. Każdy ścisły umysł, musi się oburzyć na takie brewerie.

I kiedy ten bezczas upłynie, zaczyna się od nowa, tik-tak, pstryk, pstryk, lub nieznośna cisza odmierzania czasu, który wraca. Uruchamiam algorytm dnia. Szereg ciągnących się warunków. Jeżeli iks, to igrek. Jeżeli A, to B. W ogromnym uproszczeniu oczywiście. Zaprogramowany przeszłością, kulturą, imperatywami, religią, a przede wszystkim absurdalną, atawistyczną potrzebą istnienia w tym "Najlepszym ze światów", jak twierdził Leibniz. I kiedy już zdarzy się, że z kimś rozmawiam (co zaburza irytująco regularność istnienia), proszę go, by zrozumiał, że ten Leibniz miał jednak rację. Że Voltaire, choć bardzo udatnie go wykpił, nie obalił tezy, która tak bardzo przypadła mi do serca. Że człowiek to tylko mechanizm, jak postulował Hobbes i musi być częścią innych mechanizmów. Oddać się w ich niewolę, bo inaczej "bellum omnium contra omnes", wszak "homo homini lupus est". Potem znużony wydarzeniem i ludźmi pożartymi przez miniony dzień, zasiadam w fotelu. Znowu odmierzanie czasu zaczyna się od dziesięciosekundowej, trzeszczącej rozbiegówki.

Wtedy czasem myślę o algorytmach i funkcjach codzienności. O tym jak bezbłędnie replikują się w dobowych interwałach. Jakim dokładnym odbiciem siebie są. Jak wielkie te rytuały i rutyna dają mi poczucie bezpieczeństwa.

Tak, że kiedy u kresu istnienia spojrzę wstecz, dojdę do przekonania, że przeżyłem tylko jeden dzień.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Prostaczek, dodano 15.02.2021 12:20

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.